

# Wizyta w Pałacu Villersexel

## czyli Upojny Czar Arystokracji (francuskiej)



Autor wspomnień (Janek) w pełnej krasie swych 28 lat.

### **„Góralu czy ci nie żal”, czyli Reniek opuszcza ojczyznę**

Dzień 15go sierpnia 1963 roku, nie był wyjątkiem astronomicznym, mimo że po południu tegoż dnia, Polska Republika Ludowa traciła Reńka, jednego ze swych najwybitniejszych synów. Celnicy na granicy z NRD zajęci byli, jak co dzień, parzeniem herbaty i dzieleniem się skonfiskowanymi turystom papierosami Malboro. Jak dla ironii zwyczajność tego dnia podkreślało zwyczajnie zachodzące słońce.

Mój przyjaciel szkolny, Reniek O. przekroczył właśnie granice polską, a raczej PRL-u, zmierzając motocyklem marki Jawa 350, na Zachód, do Francji. Zarówno ja, niżej podpisany, jak i Reniek, mieliśmy wtedy po lat 28 i bujne czarne czupryny.

Czerwona tarcza zachodzącego słońca świeciła mu obiecująco prosto w oczy a odurzający zapach spalin wysokooktanowej benzyny ołowiowej wprowadzał go w stan prawie że seksualnego upojenia.

Reniek jechał w nieznaną, w kierunku świetlanej albo przynajmniej gastronomicznie lepszej przyszłości, gdyż do siermiężnego raję towarzysza Władysława Gomułki, nie zamierzał już wrócić.

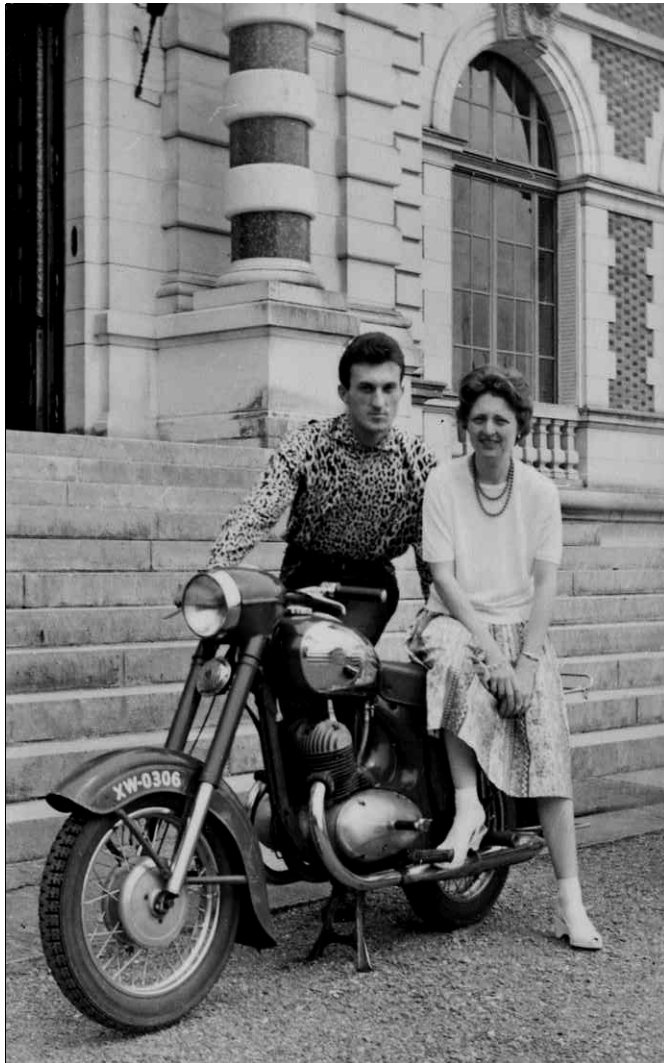
Miał on osobiste uprzedzenia w stosunku do Pierwszego Sekretarza PZPR, z powodów nie tyle politycznych co kulinarnych. Miał mu za złe, że mieszkanie fabryczne jakie mu zapewniono we Wrocławiu, na stażu, po ukończeniu Politechniki Częstochowskiej, było mniej niż wykwintne. Był to pokój „gościenny” w fabryce

urządzeń dla przemysłu spożywczego, mieszczącej się w starym poniemieckim, zrujnowanym przez wojnę browarze, na ul. Krakowskiej, we Wrocławiu. Okna w owym pokoju nie mógł otworzyć, gdyż mieszczący się na parterze fabryczny klozet czyli po staropolsku „sracz”, zwykle zapchany, woniał rozkładającym się moczem wszere i wzdłuż budynku ale głównie w kierunku Reńka okna. O ile sobie przypominam pokój ”gościnny” nie miał łazienki. Reniek będąc z natury pedantem, w celach higieny osobistej, był zmuszony prać skarpetki i intymną garderobę w zlewie. Był on więc jednym z pierwszych odkrywców tak zwanej technologii podwójnego zastosowania. Dzisiaj ta nazwa odnosi się do technologii pokojowych które także mogą być używane przez terrorystów , np. metalowe widelce na pokładzie samolotów.

Jeśli chodzi o dietę, której Reniek staranie przestrzegał to składała się ona głównie z rosółu z makaronem i rurek z kremem. Po starannych badaniach rynku gastronomicznego we Wrocławiu, Reniek odkrył, że współczynnik ilości kalorii w stosunku do ceny, był w takim zestawie najwyższy. Kalorie były Reńkowi potrzebne bardziej niż witaminy, z powodu zobowiązań jakich się podjął i dotrzymywał ( w miarę sił) w stosunku do kilku Wrocławianek. Z otrzymaniem paszportu PRL-owskiego na wyjazd, na zgniły i wraży Zachód, Reniek nie miał większych trudności. Był już wtedy człowiekiem zaufanym odnośnych organów śledczych, które zleciły mu inwigilację i pisemne donosy na temat mej osoby. Urząd Bezpieczeństwa był w owym czasie skonfundowany mym powrotem do PRL-u po rocznym pobycie w Szwecji. Wedle nich człowiek który wracał ze Szwecji do Polski, nie przymuszony głodem, był albo agentem CIA albo kompletnym wariatem. Współczując Reńkowi jak i pracownikom U.B., czując się winny niezręcznej sytuacji w jaką ich wpędziłem, siadłem więc przed lustrem i napisałem wnikliwą analizę psychologiczną mej własnej osoby. Reniek poprawił mą ortografię, (głównie wstawiając gdzie należy „ó” i „rz”), podpisał donos własnym nazwiskiem i oddał gdzie należy. Donos Reńka O. na Janka Cz. zrobił podobno furorę w kołach literackich wrocławskiego Urzędu Bezpieczeństwa.

### **Janek jedzie do Francji**

W tym samym czasie, kiedy Reniek przekraczał polską granicę pojazdem jednośladowym, ja że swą „dziewczyną” Zofia, późniejszą mą drugą była żoną , młodą i piersiastą lekarką z Łodzi, przygotowywałem się w Uppsali ( Szwecja) do wakacji. Był to już mój drugi pobyt w Szwecji, gdzie pracowałem jako asystent w Instytucie Fizyki Uniwersytetu w Uppsali. Od początku mego pobytu w Uppsali, moim marzeniem było zaoszczędzić \$5000 dolarów na kupno francuskiego samochodu marki „Simca”. Właśnie z początkiem wakacji marzeniom tym stało się za dość, konieczna suma \$5000 już miałem i taki wymarzony samochód mogłem nabyć w salonie firmowym w Paryżu.



Reniek w towarzystwie motocykla, Jawa 350,  
oraz Markizy Jeanne Marie de Grammont

Przed samym wyjazdem do Paryża, około 1 września 1963r, dostałem kartkę pocztowa od Reńka O., wysłaną z Francji, w której donosił, że jest gościem Markizy de Grammont, w pałacu Villersexel mającym ponad 20 sypialni . W pałacu tym, jak pisał Reniek, mieszkają trzy panie, Pani Starsza-Markiza, jej córka, Markizianka, w wieku poborowym, czyli około 30tki, a także polska, jakoby, „arystokratka”, która nazywano Mademoiselle de Lulu w wieku „balzakowskim”, czyli około lat czterdziestu. Reniek był jednym z dwóch mężczyzn (poza służbą) zaproszonych do pałacu. Drugim był jego kuzyn, polski hrabia, na którego zaproszenie właśnie Reniek przyjechał do Francji, motocyklem czyli pojazdem jednośladowym. Tak się złożyło, że powinowaty Reńka, kiedyś polski dyplomata, który po wojnie uciekł do Francji, został w tym samym czasie, zaproszony do pałacu Villersexel, jako honorowy gość, dla zabawiania wędnących z nudy arystokratek. Różnica między kuzynem i Reńkiem była zasadnicza, kuzyn był żonaty i starszy od Reńka, a Reniek był młodym kawalerem o imponującej prezencji fizycznej. We Wrocławiu na potańcówkach studenckich Reniek służył mi często jako osobisty ochroniarz, przed agresywnymi konkurentami do płci pięknej. Ochrona była konieczna jako, że w młodości miałem

podobno buńczuczny i wyzywający wyraz twarzy, którą to twarz moi konkurenci zamierzali zniekształcić, czyli w języku literackim, chcieli mi zdrowo dokopać. Ponieważ, kuzyn nie mógł zostawić Reńka samotnie, uprosił Markizę, żeby przygarnęła Reńka, komunistycznego wypędka, w funkcji wakacyjnego pазia. Kiedy Reniek znalazł się w pałacu Villersexel i zauważył mnogość sypialni, pomyślał sobie, że i ja mógłbym także dostać podobną pozycję. Jemu samemu byłoby mniej nudnie, a sypialnie nie byłyby tak nieprzyzwoicie puste. Czy do obowiązków pазia włączały się także usługi personalne w stosunku do trzech arystokratek, tego się nigdy od Reńka nie dowiedziałem ani wtedy ani potem. Niemniej niedawno, po 43 latach, Reniek zeznał, że Mademoiselle de Lulu często mdlała i musiał ja na rękach do jej sypialni zanosić. Podobno omdlenia miały po intensywnym masowaniu jej łądźwi.

W swym zaproszeniu Reniek zapomniał o jednym, że ja mieszkałem w Uppsali z urodziwą Zofią, z biustem, do którego nie mogła aspirować i konkurować żadna francuska arystokratka i że do Villersexel przyjedziemy razem.

W euforii swych pierwszych dni we Francji, Reniek pisząc kartkę do mnie, prawdopodobnie nie brał na serio, że ja jego propozycję gościny w Villersexel potraktuję poważnie, szczególnie, że nie miał żadnego prawa wydawać takich zaproszeń. Jakie było jego zdumienie, kiedy pojawiłem się z Zofią na podjeździe do rzeźbionych wrót wejściowych pałacu Villersexel, opisuję poniżej.

Do Francji wybraliśmy się z Zofią, dla oszczędzenia kosztów, jako współ-pasażerowie młodej pary szwedzkiej, jadącej w kierunku południowej Europy samochodem „combi”. W Paryżu pożegnaliśmy się z naszymi współ-podróżnikami i udaliśmy się na wielki kamping na przedmieściach Paryża, rozbijając tam namiot kupiony, przed wyjazdem, z rekomendacji pracownika polskiego konsulatu. Namiot ten został poddany pierwszej próbie ognia a raczej deszczu i okazało się, że dach namiotu przeciekał, natomiast gumowana podłoga doskonale zbierała wodę. Nie przyszło mi do głowy, aby odwrócić namiot do góry nogami, czyli z podłogi uczynić dach a z dachu podłogę. Zresztą takie rozwiązanie nie mogło wchodzić w rachubę w środku nocy i wśród ulewnego deszczu. Następnego dnia kupiłem wymarzony samochód Simca 1300, który się cieszył w Polsce, jak wszystko co francuskie, dobrą ale wcale nie zasłużoną sławą i podążyliśmy z Zofią w kierunku Pałacu Villersexel, gdzie w glorii i przepychu francuskiego Chateaux pławił się nasz kolega Reniek O.



Reniek przed wrotami, od których mnie odegnano

### **Afront w Villersexel**

Kiedy następnego dnia podjechaliśmy nasza „Simcą” pod przednie wrota pałacu, strzeżone po obu bokach żeliwnymi armatami z epoki napoleonskiej, drzwi otworzył nam ubrany w liberię lokaj, któremu nakazałem sprowadzić mojego przyjaciela Monsieur’a Renka O. Zamiast Reńka pojawiła się natomiast młoda kobieta, w wieku poborowym, czyli koło lat trzydziestu i przedstawiła się jako Mademoiselle, Jeanne – Marie de Grammont, najmłodsza latorośl starego (od 1330r) rodu Markizów de Grammont. Kiedy się dowiedziała, że zaprosił nas Reniek, po kilku zdawkowych uprzejmościach podała nam wykwintnym ruchem arystokratyczną dłoń i życzyła nam dalszej podróży po Francji. O zaproszeniu do sypialni albo stołu, nie wspomniała w żadnym języku, jaki znałem, mimo że chyba słyszała jak od głodu burczy nam w brzuchach.

Przelotnie pojawił się Reniek, który wspomniał, że teraz na rozmowę ma mało czasu ale za godzinę może się z nami spotkać w parku pałacowym, koło fontanny. Wtedy będziemy mieli więcej czasu i swobody na przyjacielską pogawędkę o wypadkach ubiegłego roku. Przypuszczam, że brak czasu był spowodowany kolejnym omdleniem Mademoiselle de Lulu i Reniek musiał jej masować uda. No cóż, zdrowie pięknych

pań przede wszystkim, gdyż jak mówi stary polski toast biesiadny:  
„Pijmy Zdrowie Pań, bo jak Panie zdrowe to i my zdrowi”.



Reniek wczuwa się w historię pałacu Villersexel



Pałac i Reniek w widoku frontalnym

Kiedy za godzinę spotkaliśmy w parku Reńka, wspominał że czas ma „napięty”, gdyż o godzinie 16.00 w pałacu podaje się tradycyjna herbatkę i musi się do niej stosownie ubrać.

Dla wyjaśnienia, dodał, że w doborze stroju wieczorowego pomaga mu lokaj, gdyż herbatki różnią się obowiązkowymi strojami. Każdego razu towarzystwo pałacowe ubiera się w stroje z innej epoki historycznej. Garderoba renesansowych i późniejszych epok strojów znajduje się na poddaszu Pałacu. Ponieważ stroje wieku 17 lub 18 różnią się od dzisiejszych, więc pomoc specjalisty w ubieraniu jest nieodzowna. Nie do pomyślenia byłoby przypasać rapier muszkietera Ludwika XIV do munduru grenadiera z epoki napoleońskiej. Co do feralnego zaproszenia, to Reniek, trochę zażenowany, wyjaśnił, że gdybym przyjechał sam to być może i miejsce w pałacu by się znalazło, ale widok biustu Zofii przesądził na mą niekorzyść i dlatego Markiza wytwornie pokazała nam drzwi. Nie pozostało nam nic innego jak tylko „poczłapać” nowo kupioną Simcą spowrotem do Szwecji, bo na turystyczne rozjazdy po Francji nie mieliśmy już pieniędzy,

### **Janek ponownie w Villersexel.**

Rok 2000. Od czasu mej pierwszej wizyty w Villersexel minęło lat 37. Tak się złożyło, że interesy firmowe skierowały mnie do Bazylei, centrum światowego przemysłu farmaceutycznego. Po ich załatwieniu, zastanawiałem się z moją towarzyszką Laurą, dzisiaj moja małżonką, jak spędzimy resztę czasu w Europie. Wybór padł na Francję, z którą Bazyleja graniczy. Wtedy przypomniałem sobie o Villersexel i postanowiłem ta miejscowość odszukać na mapie.

Nadzieje na powodzenie miałem płonne, jako że się spodziewałem, że we Francji miejscowości o nazwie Villersexel nazwie będzie kilkanaście. Okazjo się jednak, że byłem w błędzie. W spisie francuskich miast i miasteczek na drugiej stronie francuskiej automobilowej mapy był tylko jeden Villersexel i to na dodatek umiejscowiony wprost na zachód od Bazylei, nie więcej niż dwie godziny drogi samochodem.



Tegoż dnia jadąc samochodem, kreta drogą zmierzającą do miasteczka Villesexel, ujrzałem, na wzgórzu, znajomy mi widok pałacu Markizy de Grammont.



Brama wejściowa pałacu Villersexel w dniach dzisiejszych

Po chwili znaleźliśmy się przed żelazną bramą wiodącą do parku pałacowego, niestety zamkniętą. Napis w trzech językach, po francusku, angielsku i niemiecku głosił, że godziny zwiedzania pałacu są od 14 do 18tej, a koszt wynajęcia pokoju wynosi około \$90. Po usilnym naciskaniu dzwonka, pod bramą pojawił się mizernego wzrostu człowiek, wedle Laury wierna kopia amerykańskiego komika Woody Allen'a, który się przedstawił jako właściciel i nowy Markiz pałacu Villersexel. Pod warunkiem, że będziemy płacić gotówką, zgodził się na wynajęcie pokoju na jedną noc. Pokojem tym okazała wykwintna sypialnia Margrabiny z rozłożystym antycznym, mahoniowym łóżem.





Sypialnia Markizy i łóżko w którym spędziliśmy nieprzespaną noc

Ponieważ, pora była już późna, zaparkowaliśmy samochód pod oknem baszty pałacowej, w której mieściła się sypialnia markizy i udaliśmy się na wypoczynek. Niestety trudno nam było zmrużyć oka, gdyż w pałacu, na każdym piętrze, było kilka wielkich zegarów wahadłowych z kurantami. Niestety zegary nie były zsynchronizowane i uderzenia zegarów nakładały się wzajemnie, w sposób ciągły. Na dodatek do tej kakofonii, co kwadrans dołączał się spizowy dzwon wielkiego zegara na pobliskiej wieży kościelnej. Do wzmożenia wręcz upiornego nastroju, w środku nocy słychać było skrzypienie podłogi i kroki na korytarzu, które Laura interpretowała jako kroki wałęsającego się ducha Markizy (starszej) starającej się nas wykurzyć z jej łóżka. Nad ranem jednak doszedłem do wniosku, że to chyba nowy Markiz sprawdzał, czy czasami nie kradniemy i wynosimy do samochodu antycznych obrazów, jakimi ozdobione były korytarze. Napiętą atmosferę upiornej grozy poprawiło ranne śniadanie z pysznymi rogalikami, podane do łóżka przez młodą kobietę, która jak się później okazało była żoną aktualnego właściciela, czyli bieżącą Markizą. Muszę dodać, że ani przedtem ani potem, śniadania nie podawała mi do łóżka żadna Markiza, więc wydatek \$90 za nocleg zwrócił się z nakładem.



Pałac Villersexel w dniach dzisiejszych (armaty ciągle gotowe do wystrzału)

Po śniadaniu udaliśmy się obejrzeć park, i słynną fontannę, a raczej to co z parku i fontanny zostało i poprosić właściciela aby nam pokazał wnętrze pałacu. Właściciel okazał się rozmowny i oświadczył, że kiedyś był profesorem uniwersytetu w Ameryce Północnej, ale po śmierci Markizy, nabył pałac, czego jednak żałuje. Okazuje się, że pałac wymaga remontu a dach przecieka. Drewniane okna, a jest ich chyba kilkaset wymagają wymiany, dochody z wynajmu pokoi są mizerne a turystów niewielu. Zaproponował mi kupno pałacu za mizerna sumę \$400,000 nadmieniając chytrze, że jeśli Amerykanie nie kupią tego pałacu to będzie zmuszony sprzedać ten relikw europejskiej historii Japończykom. Argument japońskiej ekspansji na Francję mnie jednak nie wzruszył. Posiadanie nieruchomości, nawet pałacowej, na innym kontynencie, nie jest w moich warunkach praktyczne, szczególnie z perspektywą zamrożenia kilku milionów dolarów koniecznych na renowację dachu i okien.

### **Dalsze losy arystokratek**

Po powrocie do domu zadzwoniłem do mego kolegi Reńka O., dzisiaj obywatela kanadyjskiego i wybitnego hodowcy papużek, zdając mu relację z mej wizyty w Villersexel. Reniek dodał kilka interesujących szczegółów dotyczących dalszych losów rodziny Markizów de Grammont. Podobno, Pani Starsza, jakoby, przed śmiercią powierzyła swój majątek nie córce, tylko Mademoiselle de Lulu, z którą

łączyła ją bliska, a nawet bliższa niż socjalnie przyjęta, przyjaźń. Córka została z jakimś mizernym dochodem z funduszu powierniczego. Kiedy młoda markizianka de Grammont przyleciała do Montrealu aby odwiedzić Reńka, już wtedy żonatego i dzieciatego, okazała się osobą zupełnie nie praktyczną i życiowo zagubioną. Kobieta, która nawet nie miała karty kredytowej na zapłacenie podróży powrotnej do Francji. Kilka lat potem, w roku 1989, ta jeszcze stosunkowo młoda osoba umarła, niezamężna i bezdzietna na raka. Co się stało z polską „arystokratką”, Mademoiselle de Lulu nie jest mi, ani Reńkowi, wiadome. Wygląda na to, że historia potraktowała ją finansowo dużo lepiej niż rzeczywistą spadkobierczynię linii Markizów de Grammont, o których historyczne zapiski sięgają roku 1330.

### **Dlaczego odrzuciłem nobilitację**

Kiedy wspominam sobie pompę i dumę rodziny de Grammont z lat 60-tych i jej mizerny koniec, myślę sobie o kaprysach losu i jego zmienności. Kiedyś odegnany od progu jak natręt, dzisiaj mógłbym nabyć ten pałac gotówką. Pałac, który w tamtych czasach wydawał mi się szczytem sukcesu, dzisiaj stałby się dla mnie niepotrzebnym, kłopotliwym balastem. Zresztą lista podobnych francuskich zamków i pałaców oferowanych aktualnie do sprzedaży we Francji jest bardzo długa i zawiera ponad 100 obiektów.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie mógłbym zamieszkać w Pałacu Villersexel. Mianowicie obawiałem się ducha mej babci, chłopki rodem ze wsi Janów pod Częstochową, która przed śmiercią mnie ostrzegła, abym nigdy nie kupował chałupy bez obory i stodoły a także przynajmniej kilku morgów ziemi nadającej się na ziemniaki. Kurnik jest także konieczny na zagrodzie, bo nawet za Cara Mikołaja II jajko kosztowało kopiejkę i miało wartość wymienną. Tym bardziej, że tytuł Markiza, który byłby chyba częścią transakcji nabycia Pałacu, mógłby zaszkodzić mojej reputacji u Pięknych Pan, nasuwając im skojarzenie z Markizem de Sade, tym samym od którego nazwiska pewne seksualne upodobania nazwano „sadyzmem”.

JohneK de Kapusta

(ukrywający się pod pseudonimem Jan Czekajewski)